

**CORAZ
MNIEJ
OLŚNIEŃ**

Ałbena Grabowska

CORAZ
MNIEJ
OLŚNIEŃ

Lena

Kiedy wyrzucano mnie z pracy, byłam ubrana w lazurową sukienkę Max Mara. Sprzed trzech sezonów, ale kto o tym wiedział. Nawet w piśmie modowym nie wszyscy znają się na modzie. Zwolniono mnie przez zazdrość. Zawiść nawet. Bo czyż nie doszłabym do stanowiska naczelnej? Albo nawet głównego dyrektora artystycznego? Na pewno. I wcale nie jestem próżna. Nie jestem tylko skromna. Nie posłużono się nawet jakimś specjalnym pretekstem. Po prostu wezwano mnie do zastępcy redaktora naczelnego, czyli do geja w za cianym garniturze, i ten powiedział, że „sorry cię”, ale za dużo nas kosztujesz. Po prostu. Nic nie mam do gejów, ale ci, którzy wyrzucają mnie z pracy, w naturalny sposób budzą moją nienawiść. Naczelna nawet nie pofatygowała się do mnie. I szlag trafił. Miałam pracę jeszcze na jakiś tydzień, do ostatniego dnia miesiąca. A potem kończyła się umowa czasowa i do widzenia. Czy czułam, że tak będzie? Wcale nie. Wręcz przeciwnie. Byłam przekonana o swojej wielkości i sprycie. Czyż nie schodziłam z drogi Wielkiej Szefowej? Czy nie byłam przymilna i koleżeńska? Czy nie przeczytałam wszystkich poradników, jak być idealnym pracownikiem i osiągnąć sukces? Wreszcie czy nie byłam fantastycznie zdolna? Praca w piśmie o modzie to jest świat dla wybranych. Trzeba mieć własny styl, dobre pióro i mnóstwo czasu, a także uwielbiać ciuchy, ludzi z pierwszych stron kolorowych czasopism. Ja tak mam. Może poza tym uwielbieniem. Za to świetnie je udaję. Każda tak

zwana celebrytka w moim towarzystwie czuła się jak gwiazda filmowa, nawet jeśli prowadziła teleturniej dla dzieci w porze najmniejszej oglądalności. Nie mówiąc już o osobach występujących w serialach, w trzeciorzędnych rolach, zwanych przez siebie aktorami. Tym potrafiłam wmówić, że mają charyzmę Roberta De Niro albo talent samej Meryl Streep. Pod warunkiem oczywiście, że wiedzieli, kim są ci dwoje. Wielka Szefowa przyjmowała mnie do pracy. Pytała, co potrafię. Powiedziałam, że ciężko pracuję na sukces wszystkich, i spojrzałam na nią. Zrozumiała to dokładnie tak, jak chciałam. Będę lojalna. Zawsze będę miała czas na bieganie po klubach za pieniądze redakcji i nigdy, ale to nigdy nie pomyślę o jej stanowisku. Wielka Szefowa miała na nazwisko Straszak. Zmieniła sobie na Straszewska. Słusznie, to pierwsze kojarzyło się ze strachem na wróble. Prawidłowo zresztą. Straszyla wszystkim, od wyglądu, przez wystrój pokoju, aż do specyficznego, pełnego egzaltacji zachowania. I miała na imię Kamila. I to sobie zmieniła na Kamelia. Kamila Straszak vel Kamelia Straszewska wyrzuciła mnie z pracy asystentki stylistki w najlepszym krajowym piśmie o modzie. Przeżyję. Albo nie przeżyję. Na razie pogrążam się w rozpacz, myśląc o tym, co zrobię w następnym miesiącu. Poczucie klęski ogarnia mnie coraz bardziej. Wynajęte mieszkanko kosztuje około pięciuset złotych miesięcznie. To nora, ale wmawiam wszystkim, że klimaty Pragi najbardziej mi odpowiadają. Mogłabym mieszkać w każdym miejscu, ale wybrałam to, mówiłam uparcie. Jak ktoś chciał, mógł się przekonać. Imprez nie robiłam dla zasady. Od czasu do czasu kogoś zapraszałam. Wtedy ten ktoś mógł się wdrapać po obskurnych, drewnianych schodach i wejść do mojej klitki. Miała jakieś dwadzieścia osiem metrów, w tym miejsce do spania na antresoli, kuchenkę z szafkami i łazienkę. To ostatnie to sukces na Pradze, bo bywa, że pomieszczenia zwane

łazienkami znajdują się na korytarzu. Mieszkanie zostawił mi kochanek. Poważnie. To znaczy jakby wynajął. Ja płacę tylko czynsz i wszelkie opłaty, a on ma święty spokój. Inaczej powiedziałabym jego żonie o naszych miłych schadzках. I nie muszę mieszkać z ojcem pod Warszawą. I każdy jest zadowolony.

W moim mieszkaniu pół pokoju zajmuje szafa. Ciuchy to moja namiętność. Jestem od nich uzależniona. I od butów. I oczywiście dodatków. Mogłabym opowiadać o tym godzinami. Praca w „Twojej Modzie” była spełnieniem moich marzeń. A teraz co? Czy jest jakiś sens chodzić do szefostwa i pytać „dlaczego?”. Nigdy nie walczyłam. Rodzice mnie tego nie nauczyli. Matka chciała, żebym skończyła jakieś porządne studia. Uczyła się języków. Ja nie miałam na to najmniejszej ochoty. Gdybym mogła w ogóle nie kończyć studiów, byłabym najszcześliwsza. A tak musiałam prześlizgnąć się przez szkołę podstawową, do czego wystarczyła inteligencja. Skończyć liceum, do czego potrzebowałam także sprytu i kombinowania. Wreszcie skończyć studia. Męczyłam się sześć lat na różnych kierunkach interdyscyplinarnych, aż matka zagroziła, że nie da mi więcej pieniędzy. To mnie zdopingowało do przepisania fragmentów kilku książek i dodania mnóstwa własnych przemyśleń na temat „Współczesna moda i stylizacja jako element przynależności do grupy”. Wiem, że bez sensu, ale udało się obronić pracę magisterską. I spokój. Nikt nie przyczepił się ani do żywcem przepisanych z książek fragmentów, ani do podpisywania nazwiskami socjologów moich własnych, pozał się Boże, przemyśleń. Świat stał przede mną otworem. Gdyby mi się chciało pracować na studiach, skończyłabym je jako osoba z takim stażem, a tak stanęłam przed Wielką Szeferową bez doświadczenia. Ale od czego determinacja i spryt? W życiorysie napisałam sobie, że pracowałam jako: roznosicielka reklam, sprzedawca pizzy, akwizytor sprzętu biurowego i kosmetyków, piosenkarka

w klubie i wreszcie wolny strzelec w redakcji znanego czasopisma. Żeby nie było tak banalnie, napisałam, że sprzedawałam miejsca na reklamy w luksusowych czasopismach oraz bony rabatowe dla firm. W pizzerii, pisałam, przeszłam drogę od kelnerki do kierownika sali, a w wolnym czasie uczyłam się kuchni włoskiej od autentycznego włoskiego kucharza. Wpisałam sobie nawet znajomość podstaw języka włoskiego do życiorysu. Sprytnie przedstawiłam się także jako pracująca z wielkimi sukcesami akwizytorka znanej firmy kosmetycznej. Kwestię śpiewania piosenek w klubie opisałam w rubryce Hobby jako: zainteresowanie piosenką polską, włoską i francuską. Napisałam o amatorskich wykonaniach w niszowych klubach jazzowych. Za darmo oczywiście. Tylko żeby poszerzyć horyzonty. Więcej miejsca poświęciłam na opis swojej pracy w redakcji. Rubryka Doświadczenie jest bardzo istotna, a ja się przyłożyłam. Zainteresowany mógł przeczytać, że: pisałam teksty reklamowe, porady kulinarne, naturalnie prowadziłam rubrykę o modzie, redagowałam wszystko, co trafiało na stół mojego zwierzchnika. Dobrze to wszystko wyglądało na papierze. Prawda była zupełnie inna. W rzeczywistości raz rozdałam ulotki na dworcu za dwadzieścia złotych, co starczyło na duże latte i ciastko karmelowe. Pizzę wyłącznie jadam i nie przyszłoby mi do głowy pracować w pizzerii. W mieście, gdzie mieszkałam, moja koleżanka otworzyła pizzerię. Proponowała mi pracę, ponieważ szukała kelnerek. Mogłam być nawet kierownikiem sali. I kucharza miała Włocha. Wyobraziłam sobie, że tę propozycję przyjął, i już. Co do kosmetyków, to sto lat temu wypełniłam zgłoszenie dla „konsultantek” firmy kosmetycznej. Wyobrażałam sobie, że oznacza to, że będę wachać perfumy albo określać, który kolor szminki jest trendy, ewentualnie uczestniczyć w tworzeniu opakowań kosmetyków. Jakaś miła pani zadzwoniła i wyjaśniła mi, że konsultantka

to akwizytorka, i tyle. Miałabym chodzić po biurowcach i wciskać kobietom pudry i cienie do powiek. Podziękowałam. Wreszcie piosenki. Moja babcia uwielbiała Edith Piaff, Mireille Mathieu i Domenico Modugno. Większość tych piosenek umiałabym zanucić. A w barze śpiewałam kilka razy. Karaoke. Miałam nawet powodzenie. Nikt by tego nie sprawdził. Szefostwo mogło się jednak pokusić o sprawdzenie mojej kariery dziennikarskiej. Przewidziałam to i wybrałam pismo, które w międzyczasie zmieniło właściciela. Moja koleżanka ze studiów, która pracowała na dokładnie opisanym przeze mnie stanowisku, pożaliła mi się w chwili słabości, że zaniedbała prośby o referencje. Teraz, mówiła mi, nie ma tam nikogo, kto wcześniej pracował. Nikogo, kto mógłby zaświadczyć, że przez kilka lat praktycznie tworzyła to pismo. Za dobre, żeby tego nie wykorzystać.

Czy to wszystko oznacza, że moje życie to jedno wielkie kłamstwo? Może kłamstwo nie, ale ściema na pewno. Każdy kręci, żeby jakoś się utrzymać na powierzchni. Ja nie mam z tym problemu. Tyle że straciłam posadę. I wracamy do punktu wyjścia. Nie mam pracy od pierwszego. Nie mam na czynsz. Pracowałam w tej pieprzonej redakcji rok, na umowę-zlecenie przez dziewięć miesięcy, aż dostałam pierwszą czasową trzymiesięczną umowę. Byłam taka dumna. Może tak robią ze wszystkimi? Wielka Szefowa zatrudnia taką słodką i naiwną istotę na kilka miesięcy na umowę-zlecenie. Potem proponuje pierwszą umowę stałą na czas określony. A potem każe swojemu zastępcy – zwanemu Pasikonikiem – wywalić mnie. Po lunchu, na którym nic nie zjadłam, zrobiłam sobie kon-turówką do warg podkrążone oczy i poszłam do Pasikonika.

– Mam prawo wiedzieć dlaczego – zachlipałam na progu.

Pasikonik zdjął czerwono-czarne ray-bany kujonki, popatrzył na mnie przeciągle i powiedział afektowanym tonem:

– Nie stać nas na asystentkę, która zapomina oddać do sklepu ubrania wypożyczone do sesji. Nie bierz tego osobiście – dodał, krzywiąc się.

A niby jak mam brać, pomyślałam. Zarzucał mi kradzież wprost. Ciuchy chciałam zatrzymać dla siebie. To była szyfowna granatowa bombka i ciasny czerwony sweterek w srebrne biedronki. Resztę oddałam do sklepu. Przysięgam. Tonę ciuchów. Tych dwóch nie było na liście, nie było w wykazie ze sklepu. Jak na to wpadli, że to ja je zabrałam? Próbowałam przekonać Pasikonika, że nie wiem, o co chodzi. Przez cały czas upierałam się, że nie mam pojęcia o tym, gdzie mogą być rzeczony spódnica oraz sweterek. Wytrzeszczałam swoje niebieskie oczy i robiłam minę „krzywdzicie mnie podejrzeniami”. Zawsze działała. Teraz nie.

– Zapłacę za te rzeczy, tylko mnie nie wyrzucaj – przesłałam do błagania.

Jak zostanę naczelną, wyrzucę go na bruk.

– Nic z tego, nie chcą pieniędzy. – Pasikonik patrzył na mnie, jakby chciał mi powiedzieć, że nie dość, że bombka i sweterek wiszą w mojej szafie, to jeszcze ktoś mnie widział w nich w klubie w sobotę.

– Przetrzęsnię wszystkie outlety w promieniu trzydziestu kilometrów, znajdę to i oddam. Kupię na własny rachunek – błagałam coraz bardziej, a Pasikonik miał coraz bardziej wymowny wyraz twarzy.

– Powiedzieli, że nie pożyczą nam już nic na sesję. Kamelia po prostu nie wiedziała, jak ich przeproszać.

Przepraszająca Kamelia była argumentem nie do zbiccia. Jeszcze walczyłam.

– A może ja tam pojedę i wyjaśnię sprawę – mówiłam coraz ciszej i na przydechu. Niech sobie wyobrazi, że życie mi się wali.

– Daj spokój, Lena – powiedział Pasikonik. – Dziękuj Bogu, że Kamelia nie wystawia ci wilczego biletu. A mogłaby. Tyle że to cudowna osoba. I docenia to, co dla nas zrobiłaś wcześniej. Zanim...

I wykonał charakterystyczny gest ręką. Taki oznaczający zagarnięcie.

– To nieprawda – szepnęłam.

– Prawda. – Pasikonik był łagodny – Powodzenia. Możesz zostać do pierwszego i normalnie pracować. Jeśli nie chcesz, to możesz nie przychodzić do redakcji. Maja zrobi twoją rubrykę.

– Zostanę – powiedziałam dramatycznym szeptem. – Rubrykę prawie skończyłam. Zdjęcia mam już wszystkie, poprawiam tylko tekst.

Zostałam do końca tygodnia. Spotkałam się nawet ze współczuciem. Pomogło mi to, bo dziewczyny dzieliły się ze mną lunchem. Mogłam zachować ostatnią setkę, jaką miałam na koncie. Przez tydzień nie wychodziłam praktycznie ze swojego boksu. Nie chciałam spotkać się twarzą w twarz z Kamelią. I jej lakierowaną fryzurą. Nie tym razem. Jak osiągnę sukces, to zrobię wszystko, żeby straciła wpływy.

Nie mam żadnych oszczędności. Pracowałam za krótko, żeby się czegoś dorobić. Poza tym nie umiem oszczędzać. Wydam każde pieniądze. Na ciuchy, dodatki, drinki w klubie. Matka tego nie rozumiała. Dla niej ciuchy dzieliły się na służbowe i domowe. Miała też eleganckie ubrania, oczywiście. Takie, w których chodziła do ukochanego teatru. Nie wiem, czemu ciągle o niej mówię. Umarła przecież dawno temu.

•

Mieszkanko wydaje mi się smutne i puste. Siedzę w nim już drugi tydzień i prawie nie wychodzę. Ani w piątek, ani w sobotę

nie byłam w klubie. Pierwszy raz w życiu nie miałam ochoty wyjść się zabawić. Otwarte drzwi od szafy skrzypią. Kołyszą się na wietrze, a wiatr bierze się z nieszczelnych okien. Gówniane to mieszkanie. Jestem głodna. W lodówce mam serek light i otręby. Biorę je do ręki. Oddycham z ulgą. Nie są przeterminowane. Przelewam jogurt do porcelanowej miseczki. Miseczka to jeden z niewielu przedmiotów, jakie wzięłam z domu. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. To była ulubiona rzecz matki. Przez lata jej nie używałam. Teraz jem z niej chudy jogurt z karmą dla konia. Matka pokiwałaby głową z politowaniem i popatrzyła na mnie smutno i z rozczarowaniem. Czyli tak jak zwykle. Myję miskę pod bieżącą wodą. Nie muszę dodawać, że w mieszkaniu nie ma zmywarki. Przez chwilę mam ochotę upuścić miskę i stłuc ją tym samym na drobne kawałki, ale się powstrzymuję. Zawsze się powstrzymuję. Jakby matka powstrzymywała mnie swoją obecnością. Wzdycham i odkładam ją do rozklekotanej szafki. Postanawiam zadzwonić do Krzyśka, tego mojego byłego kochanka. W końcu jest mi coś winien. Zawsze był źródłem łatwych pieniędzy, a ja dla niego bezpiecznej przyjemności. Wykręcą numer komórki.

– Malena – slysę ciche – nie mam czasu. Ja naprawdę mam tu zasuw.

– Przyjdź – przymilam się do niego chyba po raz pierwszy.
– Tęsknię.

Cisza w słuchawce. Słyszę, jak mi serce wali.

– Za godzinę będę – szepcze.

Czyli w przerwie na lunch. I dobrze, bo nie mam ochoty, żeby zostawał na noc. Czasu mam mało. Zrzucam piżamę i wciągam dzianinową, elastyczną sukienkę Zary. Zastanawiam się, co włożyć pod spód. W końcu zostaję bez bielizny. Od tej wizyty dużo zależy. Krzysiek wkracza punktualnie i od razu zabiera się do rzeczy. Mój brak majtek i stanika przypada

mu do gustu. Czuję się jak przedmiot. Obraca mnie najpierw i bierze od tyłu, potem robimy to na lodówce w kuchni. Ani trochę nie jestem podniecona. Mówiłam już, że umiem udawać. Teraz też cała drzę pod nim i nad nim. Na szczęście on jest tak napalony, że trwa to w sumie niedługo.

– Dzięki – mówi.

Palant skończony. Przełykam dziwną gulę w gardle.

– Słuchaj – mówię – straciłam pracę i dopóki czegoś nie znajdę, to nie mam na rachunki.

Odskakuje ode mnie jak oparzony. Wcześniej siedział na kanapie i obejmował mnie ramieniem.

– Nie ma mowy – dyszy. – Umawialiśmy się.

– Ale ja...

– Zapłacę tylko za ten i przyszły miesiąc – patrzy zimno.

– I będę tu wracał raz w tygodniu.

Wysuwa język. Wygląda, jakby chciał mnie uderzyć. Ja sama mam ochotę walnąć go przez tę wygoloną głowę pana product managera, ale się powstrzymuję. Niech mu się wydaje, że wygrał. Mam jeszcze prawie dwa miesiące spokoju. Na pewno jakoś przez ten czas wypłynę.

– Następnym razem włóż majtki – mówi. – Lubię je z ciebie zdzierać.

Wychodzi, trzaskając drzwiami. Nie czuję się dobrze. To chyba ten jogurt. Wchodzę pod prysznic. Normalnie nie używam żelu do mycia. Zmywa naturalną powłokę lipidową i skóra szybciej się starzeje. Teraz czuję, że woda nie wystarcza, żeby zmyć dotyk byłego-obecnego kochanka. Biorę mydło, którym myję ręce i namydlam się cała. Spłukuję długo, na przemian zimną i gorącą wodą. Trochę mi lepiej. Na moment uśmiecham się nawet do zaparowanego lustra. Sięgam po ręczniki, ale nie ma żadnego czystego. Szlag by trafił. Jak byś prała, to byś miała, słyszę za plecami. Odwracam się

gwałtownie. Nie ma nikogo. Przelatuję truchtem całe mieszkanie. Nikogo. Świruję z tego wszystkiego. Dziś już któryś raz wspominam matkę. To nienormalne. Wycieram się bawełnianą bluzką. Ubieram w dżinsy i podkoszulek. Znów mi się poprawia na moment. Bigstary dobrze leżą. Podkoszulek ma dobry nadruk – „Be happy”. Jeszcze będę szczęśliwa. Mój wzrok zawiesza się na chwilę na stoliku stojącym przy kanapie. Leży na nim dwadzieścia złotych. Przed wizytą byłego-obecnego ich tu nie było. Na tyle mnie wycenił. Chociaż jeśli dodać czynsz za dwa miesiące i opłaty, to i tak nieźle mi poszło. Zbieram pranie i wrzucam do pralki. Ledwie chodzi, ale przynajmniej to automat. Na szczęście mam jeszcze trochę proszku do prania. Ogarniam dom. W ciuchach zawsze miałam porządek, ale reszty nie chciało mi się nigdy sprzątać. Teraz czuję potrzebę. Wyciągam odkurzacz spod łóżka. Przejeżdżam po moich dwudziestu ośmiu metrach, wciągając miesięczne koty. Potem biorę mopa i myję łazienkę i kuchnię. Przecieram też parapety. Matka byłaby zadowolona. Znowu pomyślałam o niej. Chyba mi odbija. Zasłużyłam na coś fajnego. W portfelu mam trzydzieści złotych, Krzysio zostawił mi dwadzieścia. Narzucam na siebie marynarkę Diesla i wkładam szpilki Venezii.

Na przystanek podjeżdża tramwaj wypełniony po brzegi. Postanawiam zignorować go i udać, że czekam na inny. Zostaję na przystanku sama. Następny przyjeżdża po dwudziestu minutach, kiedy zaczynam kulić się z zimna. Wydawało mi się, że mamy ciepły wrzesień, tymczasem jest jakieś piętnaście stopni, a ja mam na sobie cienkie ciuchy. Przynajmniej tramwaj nie jest tak zatłoczony. Udaje mi się usiąść. Gapię się przez zakurzone okno. Warszawa wydaje mi się obca i ponura. Podróż dłuży się, samochody zajeżdżają motorniczemu drogę. Tramwaj co chwilę staje. Słysząc trąbienie. Nade mną stoi starsza kobieta ubrana w płaszcz, czapkę i szalik. Podziwiam

jej przezorność, aż tak zimno nie jest. Pewnie powinnam wstać i jej ustąpić. Bawi mnie ta myśl. Mało kto ustępuje teraz starszym w komunikacji. Kto ma bilet, ma prawo siedzieć. Takie zasady. Zresztą za mną siedzi chłopak. Niech on jej ustąpi. Wysiadam przy Złotyich Tarasach. Przechodzę przez pół Dworca Centralnego i wchodzę do hali głównej. Przejdę do Tarasów górą, przez przystanki. Nigdy nie wchodzę podziemiami. Szklane, kręcące się drzwi prowadzą do rajów wypełnionego sklepami i kawiarniami, w których przechadzają się ludzie mający na sobie niedostępne chwilowo dla mnie ciuchy. Zawieszam oko na dwóch dziewczynach w wieku licealnym. Nie mają więcej jak siedemnaście lat. Siedzą w Coffe Heaven na parterze i piją kawę z papierowych kubków. Wyglądają jak klony. Obie mają spodnie z obniżonym krokiem, ale nie z górnej półki – River Island chyba albo Promod, ciasne sweterki i kolorowe łańcuchy na szyjach. Żadna z nich nie zdjęła wełnianej czapki. Tego nigdy nie rozumiałam. Łażenie w wełnianej czapce na głowie w ciepły dzień albo, co gorsza, we wnętrzu uważam za brak gustu. Wiem, że tak robi David Beckham, ale nawet on głupio wygląda. Rozglądam się za jakimś miejscem. Znalazłam idealne. W kącie, pojedyncze, z widokiem na całą kafejkę i fotelem do siedzenia. Zostawiam tam torebkę, po wyjęciu z niej portfela, i żakiet.

– Witamy – mówi dziewczyna zza kasy. – To co zwykle?

Jeszcze bardziej poprawia mi się humor. Dobrze, że wyszłam z domu. Kiwam głową, płacę i czekam na swoje duże latte.

– Zrób fajną kawę z sercem – mówi dziewczyna do chłopaka przy ekspresie.

Robi mi się jeszcze fajniej. Od dawna nikt mnie tak nie potraktował. Indywidualnie, znaczy się jak VIP-a albo kogoś naprawdę ważnego.

- Lepszy mi wychodzi listek paproci – mówi cicho chłopak.
– Spróbuj – mówi stanowczo dziewczyna.

Z plakietki wynika, że ma na imię Joanna i jest Young Managerem. Chłopak z plakietką „Marcin – uczyć się” zabiera się do pracy. Zachęcająco się uśmiecham do niego i z wdzięcznością do dziewczyny, która stoi przy koleźce młodszym stażem i pilnuje, żeby zrobił mi dobrą kawę. Chłopak wkłada całą energię we wlewanie spienionego mleka do kubka. Joanna – Young Manager – marszczy brwi. Chłopak wzdycha.

- Wyleję to – mówi.

- Nie – protestuję, nie rozumiejąc, o co im chodzi.

Sięgam po kubek z kawą. Po chwili rozumiem. Na samej górze powinno być serduszko z piany. Rysunek na kawie nie przypomina serca. Boki są zapadnięte, co wraz ze zgrubieniem na szczycie daje obraz grzyba. Powiedzmy, że jeszcze nierozwiniętej kani. A tak szczerze, to sterczącego fallusa. Sterczącego, z grubą żołądźką. Parskam śmiechem.

– Dzięki – mówię. – To specjalna kawa. Nie ma mowy o jej wylewaniu.

Nie do wiary. Siadam w swoim kącie. „Marcin – uczyć się” i Joanna manager śmieją się za ladą. Zabieram się do kawy. Mam dużo czasu. Popijam małymi łykami i gapię się przed siebie. Blisko mnie siada dwóch gejów. Przyglądam się ich koszulom. W kratkę, krótkie, jedna błękitno-granatowa u blondyna, druga wiśniowo-różowa u bruneta. Szczeboczą do siebie. Usiłuję odgadnąć, co robią w życiu. Agencja reklamowa, copywriterzy? Pewnie coś w tym stylu. Conversy mają pod kolor koszul. Rozmawiają cicho ze sobą, stykają się ramionami, patrzą sobie w oczy. Zazdroszczę im. Ja nie miałam nigdy nikogo bliskiego. Wszystkie moje związki były przelotne. Nie umiem się zaangażować. Tłumaczę sobie, że nie trafiłam jeszcze na tego jedyne, ale wiem, o co chodzi. Jestem

cyniczna i wykorzystuję ludzi do swoich celów. Każdego oglądam w kontekście, co może mi dać albo jakie drzwi otworzyć. Poznaję takiego, udaję królową, a jak już mi da pierścienek, białego konia czy co tam ma, to do widzenia.

– Lenka?

Mrugam, kiedy widzę Maćka. To jeden z moich byłych. Tylko on tak do mnie mówił.

– Maciuś? – Uśmiecham się słodko. – Co ty tu robisz?

Przysiada się do mnie. Dobrze wygląda. Ma dobrą marynarkę i spodnie pod kolor. Tylko pod marynarką T-shirt z napisem „Super-Tata”. Mdli mnie odrobinę, ale nie przestaję się uśmiechać. Oficjalnie zerwaliśmy dlatego, że ja nie byłam jeszcze gotowa na poważny związek. W taki sposób, jak on chciał, to ja nie będę nigdy gotowa. Byliśmy razem jakieś dwa miesiące, jak chciał się zaręczać, brać kredyt i kupować mieszkanie. W łóżku był nieporadny, ale bardzo czuły i nie krył, że chce mieć dzieci, dużo i od razu. Rachunki opłacał na czas, wszystkie, nawet za moją komórkę. Robił romantyczne kolacje i zapraszał mnie na weekendy do mieszkania swojej babci, która wyjeżdżała za miasto na działkę. Odeszłam, kiedy zrobiła się jesień i babcia zostawała w mieście, bo domek na działce nie był całoroczny. Pamiętam, że płakał przy rozstaniu, a ja dopasowałam się do tej konwencji. Kołysałam go w ramionach i powtarzałam, że jest dobry, cudowny i zasługuje na wspaniałą kobietę, a ja nie mogę mieć dzieci. Zrywam zawsze w taki sposób, żeby facet nie omijał mnie potem na ulicy albo nie mścił się na mnie. Poza Krzyskiem naturalnie, któremu po prostu powiedziałam, że to koniec, ale zostaję w jego mieszkaniu.

– Wspaniale wyglądasz – mówię do Maćka.

Przysiada się i – przysięgam – wyciąga z portfela zdjęcia bobasa i miłej brunetki z niewyregulowanymi brwiami. Udaję

zachwyty i długo wypytuję o szczegóły ich związku i narodzin synka. Gorąco popieram decyzję żony, która odeszła z pracy (wydawca) po urodzeniu dziecka i już drugi rok opiekuje się maluchem w domu. Teraz pracują nad dziewczynką. Bardzo słusznie, bycie jedynakiem jest okropne, przytakuję. Nie mają opiekunki – jakie to wspaniałe dla dziecka! Mój entuzjazm nie ma końca. Przyglądam się ponownie zdjęciu. Widzę, że nie zgubiła nadwagi po ciąży, a brak opiekunki uniemożliwia jej wizytę u fryzjera. To rzeczywiście kobieta, której pragnął. Potem pytam o pracę.

– Zostałem teraz zastępcą redaktora naczelnego, wiesz?

– mów, a ja nastawiam uszu.

– A jakie pismo? – pytam słodko.

Serce zaczyna mocno mi bić.

– „Twój Dzidzius” – odpowiada z zadowoleniem.

Jakżeby nie. Nabieram powietrza. Muszę to dobrze rozegrać. Zanim jednak zdążę się odezwać, Maciek wypala sam:

– Lenka, interesowałaś się przecież modą, a my szukamy stylisty, który poprowadzi nasze sesje. Co ty na to? Miałabyś czas? To tylko praca dodatkowa...

– Mam – przerywam mu. – Właśnie szukam roboty. Pracowałam jako stylistka, ale wywalili mnie, jak trzeba było zatrudnić mnie na stałą umowę. Mam czas i bardzo chętnie pomogę ci w tym piśmie.

Taka półprawda.

– No to, no to... – Maciek uśmiecha się szeroko. – Jakie ja mam szczęście!

A jakie ja? Dzięki Ci, Panie Boże. Zapisuję nowy numer komórki Maćka. Redakcja jest na szczęście blisko mnie. W poniedziałek mam przyjsć spotkać się z fotografami i modelką. I wziąć pełnomocnictwo na pożyczanie ciuchów do sesji.

– A jak ma na imię twój synek? – pytam jeszcze.

Radość mnie rozpiera. Zaraz się go pozbędę i pójde coś sobie kupić. Mam pracę!

– Nicolò – mówi z dumą. – Przez c.

– Pięknie – kłamię po raz kolejny, ale jestem tak zadowolona, że nie muszę specjalnie udawać.

Na mózg im chyba padło. Nienawidzę, jak ktoś daje dziecku takie imiona. Miałam koleżankę Inez, ale jej ojciec był Hiszpanem. Ale tu? Mnie matka nazwała Marlena. Po Marlenie Dietrich. Matka uwielbiała kino. Nienawidzę tego imienia. Uważam, że do mnie nie pasuje. Nikt prócz matki tak do mnie nie mówił. Ojciec, brat i koledzy mówili Lena albo Lenka. Jeden z chłopaków mówił Malina. Wkurzało mnie to bardziej niż Marlena. Krzysiek pierwszy nazwał mnie Malena i bardzo mi się to podobało. Jestem nawet podobna do Moniki Bellucci, tyle że nie jestem gruba.

19

•

– Jak w tym będziesz sikać?

Pytanie pada z ust dziewczynki, na oko siedmioletniej.

– Proszę? – pytam, mrugając.

Właśnie weszłam do redakcji „Twojego Dzidziusia”. Mam zrobić sesję zdjęciową i wrócić na szczyt stylizacji. Ubrałam się w różowy kombinezon Miss Sixty, jeden z najlepszych ciuchów, jakie mam. Na nogach mam turkusowe czółenka, żółtą torbę Venezii i duże zielone klipsy. Wyglądam fantastycznie. Dokładnie tak jak lubię, czyli perfekcyjnie, a przy tym sprawiając wrażenie typu: „Och, spieszyłam się i wzięłam pierwszą czystą rzecz, jaka wpadła mi do ręki”.

– Jak w tym będziesz sikać? – powtarza dziewczynka, taksując mnie wzrokiem.

– Poradzę sobie – odpowiadam, odzyskując animusz.

– Będziesz musiała być cała goła i uwalasz nogawki – mała nie daje za wygraną.

Za jakieś pół godziny przyjdzie mi do głowy kilka bardzo inteligentnych, ciętych odpowiedzi, które pozwoliłyby mi pokazać temu dziecku, gdzie jego miejsce, sprawiając przy tym, żeby mnie pokochało od pierwszego wejrzenia. Tymczasem jednak gapię się na blondyneczkę z mysimi włoskami i nie wiem, co powinnam jej odpowiedzieć.

– Łazienka jest czysta – odpowiadam. – A kabina zamknięta. Nikt nie zobaczy.

– Nie jest czysta – mała odpowiada natychmiast, prawie bez namysłu. – Ja zasikałam podłogę. Uwalasz.

– Będę pamiętała, wybierającabinę. – Odwracam się na pięcie i wchodzę do redakcji.

To będzie mój triumf. Pochód do zwycięstwa w konkursie na najlepszego stylistę roku. W wywiadach będę opowiadała, że wyrzucenie z pracy w gazecie o modzie to najlepsze, co mogło mi się przytrafić. Bo czyż nie awansowałam z asystentki stylistki na stylistkę? To asystentka ze sklepu powinna przywieźć mi całą torbę ciuchów. Ja przyjechałam taksówką jak gwiazda, a teraz wchodzę przez szklane drzwi i pytam, gdzie jest modelka. Odrzucam precz wspomnienie o natrętnym dziecku.

– Witam cię, Lenko. – Maciek wychodzi mi na powitanie.

Za nim idzie gromadka, jak myślę, przypadkowych odwiedzających w osobie kobiety z dzieckiem na ręku, starszej pani oraz dwóch dziewczyn mniej więcej w moim wieku. Dziewczyny się przedstawiają. Nie zapamiętuję ich imion. Czekam, aż kobieta z dzieckiem się pożegna. Pewnie przyniosła tylko obiad w garnku mężowi. Starsza pani to pewnie babcia dziecka. Obok gromadki, która patrzy na mnie wyciekująco, dematerializuje się dziewczynka.

– To jest Julia – mówi ta z dzieckiem.

– My się już poznałyśmy – szczebioczę, bo co mam robić.

Jakiś zlot fanów „Twojego Dwidziusia”? Chcę zrobić tę sesję. Mam różne pomysły. Namówię modelkę, żebyśmy wyszły na powietrze. Zrobimy zdjęcia w kawiarni, na podwórku starej kamienicy, z chłopakiem na randce. Obsypię ją kwiatami. Pokażę, że świeżo upieczona mama może być śliczna i za-
dbana. Byleby tylko modelka nie była za młoda. Czasem bez-
myślnie wyślą czternastolatkę, która nie tylko nie wygląda
na matkę, ale raczej sama potrzebuje opieki mamusi. Ale
na to nie miałam wpływu. Sekretarka redakcji, którą oka-
zuje się starsza pani, powiedziała mi, że ubrania są tylko
firmy Cottonfield, bo to sponsor sesji, a modelkę mają już
zakontraktowaną, bo występuje dla nich regularnie. Cotton-
field jest w porządku, a modelkę mogę zmienić następnym
razem. Ja tu będę szefem.

Fotograf czeka w małym pokoiku, który nazywany jest
pokojem zdjęciowym. Słusznie nie nazywają tego czegoś
studium. Za mną wchodzi ta z dzieckiem i Julia. Co do licha?

– Cześć, Julka – mówi fotograf.

– Ona nie sika – mówi ta mała gadzina, pokazując mnie
palcem.

– Julciu – mówi jej matka, głaszcząc po głowie gaworzące
dziecko, jak się potem okazuje, także dziewczynkę – Klarę.
Ton jest karcący, raczej pobłażliwy.

– Będzie – mówi fotograf. – Wejdzie do kabiny, ściągnie
to w dół i już.

Czy to mowa o moich potrzebach fizjologicznych?

– Zaczniemy? – pytam cierpliwie.

Na twarzy mam wypisany profesjonalizm. Jedna z dziew-
czyn, której imienia nie pamiętam, kładzie dużą torbę na
podłogę i wychodzi. Druga wyciąga z szafki kuferek, jak

się później okazuje na kosmetyki, i siada na jedynym krześle w pokoju. Coraz lepiej. Czekam, aż wyjdzie ta z dziećmi i przyjdzie modelka.

– No, to zaczynamy – mówi zamiast tego i wyjmuje bobasa z nosidełka.

Patrzę pytająco na fotografa. Gdzie jest modelka, u licha? Miałam zrobić zdjęcia zadbanej młodej mamie.

– Cykamy dzieci we wszystkich ciuchach, a potem Agnieszkę z dziećmi.

– Ja przyjdę za jakieś trzy godziny – mówi makijażystka.

Co ja sobie myślałam?

– Kiedyś nie potrzebowaliśmy stylistki – mówi fotograf.

– Cykaliśmy dzieciaki i Agniechę w ciuchach, jakie przyniosła Wiola, i już.

Jeśli chciał mnie pocieszyć, to mu się nie udało. Przybieram znów profesjonalny wyraz twarzy.

– To teraz macie – mówię z uśmiechem numer pięć i schylam się po torbę. Wyciągam małe ubranka na stół. Na szczęście jest w czym wybierać. Nie za bardzo czuję modę dziecięcą. W tej kwestii ideałem dla mnie jest Suri Cruise, którą rodzice ubierają w markowe ciuchy, w większości szyte jako naturalne modele, jedynie pomniejszone. Ubrania, które wyciągam, są ewidentnie wykonane dla dzieci. Są to miniaturowe džinsy, różowe sweterki w kwiatki, reniferki, kokardki. Wszystko słodkie. Podaję Julii zielone spodnie, fioletową bluzkę i sweter w szaro-zielone kwiatki.

– Wskakuj w to – mówię.

– Ale to nie pasuje. – Julia nie rusza się z miejsca nawet o centymetr.

– Pasuje – zapewniam najbardziej cierpliwie, jak mogę.

Podaję matce zestaw dla bobasa.

– A dla Klary to.